

WŁADYSŁAW WÓJCIK



Bezdomne.

Obrazek sceniczny jednoaktowy z czasów
wojny światowej w Polsce
dla
Teatrzyków Dziecięcych.



Wydawnictwo T-wa Kultury Teatralnej
w Brazylii.

Józef Stanczewski
Wąbrzeźno

1928

Biblioteka: nr.

1636

Odbito w drukarni «Świtu»
Curityba — Parana — Brasil.

Odegrany po raz pierwszy przez Teatrzyk Dziecięcy
na scenie Koła Mł. W. i Teatru Włośc. w Guaçuwirze,
w maju 1927.

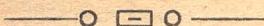
□ ○○○ □□ □□ □□ □□ ○○○ □
○○○
○○○ *Zbyszkwowi* ○○○
□ mojemu poświęcam. □
○○○
○○○ AUTOR. ○○○
□ ○○○ □□ □□ □□ □□ ○○○ □



OSNOWA:

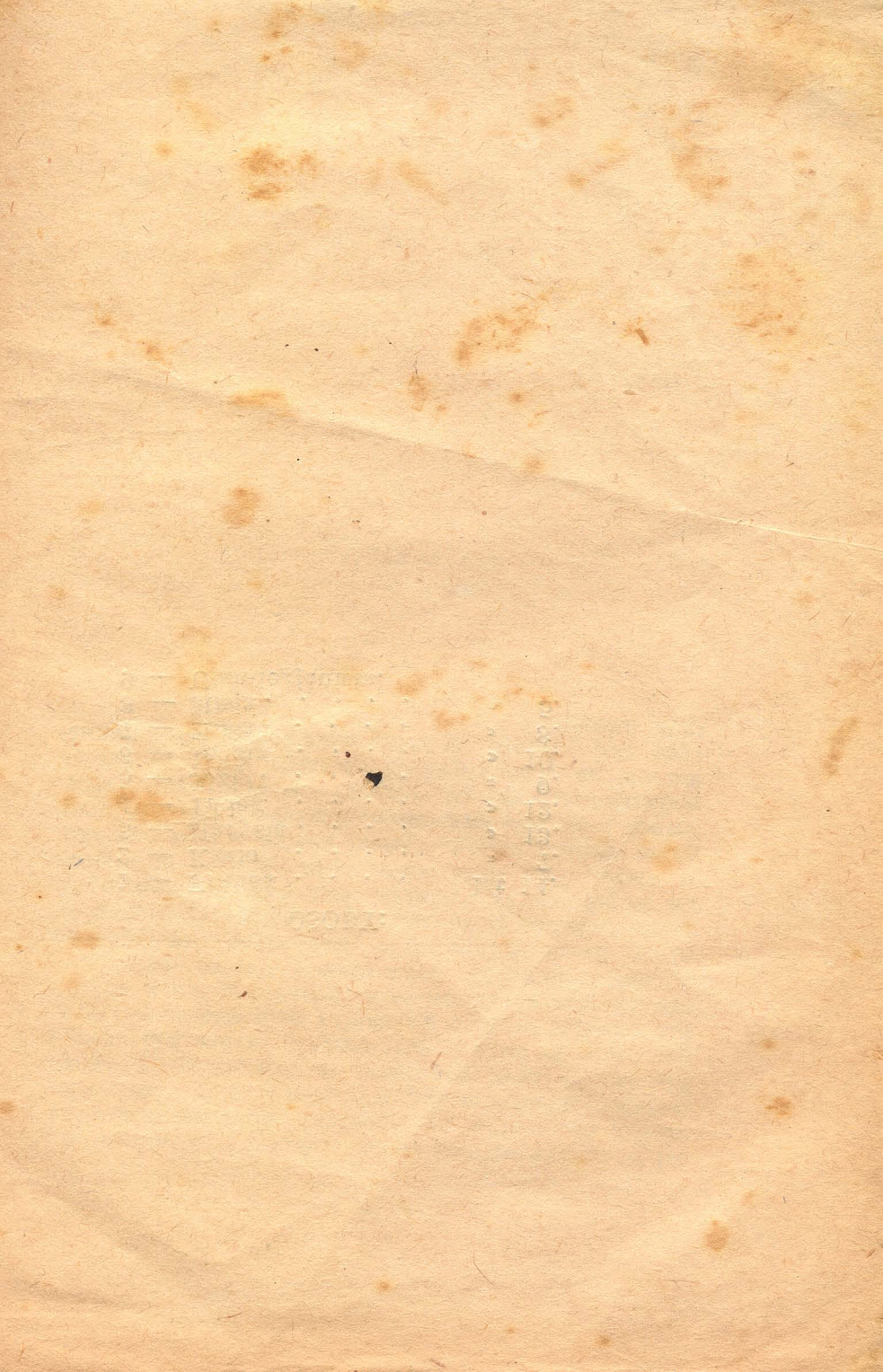
W roku 1915-tym, kiedy na ziemi polskiej przewalał się huragan wielkiej wojny i miljonowe armje zaborców deptały polskie zagony, niszcząc wsie i miasta ogniem setek tysięcy dział i pocisków, w wielu miejscowościach, gdzie armje wojujące ustawiały swe pozycje i toczyły się długie, krwawe walki, ludność zmuszona do opuszczenia swych siedzib szła na długą wędrówkę w głąb kraju, dokąd jeszcze nie dotarła wojna. Brali na wozy płachtami okryte część swego dobytku i całe rodziny, poczem wlekli się długim, żalobnym szlakiem od wsi do wsi, od miasta do miasta. A kiedy wyczerpali już skromne swe zapasy, wówczas cierpieli głód i okropną nędzę w barakach z desek przez rząd budowanych, w których w czasie ostrej zimy marzli i zapadali na różne choroby, umierając masami. — Ojcowie rodzin, powołani do służby w szeregach walczących, przeniesieni twardym musem w dalekie strony, nie wiedzieli często co się z ich rodzinami stało, podczas gdy te osierocone rodziny, wygnane ze swych sadyb wojennym nakazem, na wozach powożonych przez matki, z drobnymi dziećmi, wlokły się wśród cierpień i poniewierki okrutnej po całym kraju, jak rozproszone stado ptasząt, która burza rozpe-

dzi w cztery strony świata. A kiedy zdarzyło się często, że wśród tej tułaczki bezdomnych ofiar wojny pomarły matki, wówczas sieroty same wlokły się w tych ponurych karawanach, pragnąc powrócić do chat opuszczonych, które najczęściej już odnajdywały w gruzach i zgliszczach. — Obrazek niniejszy przedstawia właśnie jeden z takich epizodów tułaczki bezdomnych dzieci «uciekiniarów». Rzecz dzieje się w lesie «Noc ciemna, — na małej polance lichy namiot z «celty» (żółtego płótna wojskowego), podarty, na kijach umocowanych w ziemi. Tuż obok słabe ognisko, pod namiotem garść zgnilej słomy. Dzieci siedzą wokół ogniska, dwoje leży pod namiotem. Twarze wychudłe, oczy podkrążone, ubrani wszyscy w łachmany, przeważnie za duże kapoty i kaftany. Wszyscy grzeją ręce nad ogniem, w którym się piecze kilka nagnitych kartofli.



OSOBY:

1 — Franek	lat 14.
2 — Kazio	» 7.
3 — Marysia	» 13.
4 — Tadek	» 12.
5 — Józio	» 9.
6 — Jadzia	» 10.
7 — Zosia	» 8.
8 — Misia	» 5.
9 — Ulan-legjonista.	



SCENA 1.

Przy ogniu siedzą wokóło: Franek, Kazio i Jadzia. — Pod namiotem leżą: Józio i Zosia (śpią).

FRANEK: (poprawia ogień patykami) — podśpiewuje: Oj bida, to bida, niedola! — Oj bida — niedola! — (mówi). — A to ci majówka, co? Już chyba i Robinson lepszej nie używał na bezludnej wyspie, jak myślisz Kazik, he?

KAZIO: (przeciera oczy i podkłada nogi pod polę kapoty). — Ja nic nie myślę, jeno mi w brzuchu tak ciurczy... o jej! — Franuś, a wnet to już będą te kartofelki gotowe?

FRANEK: Dziad swoje, baba swoje! Ja o Robinsonie, a ten ciągiem jeno o kartoflach. Pilno ci? Poczekaj obywatelu, jak z tych zgniłków woda wyparuje, to w sam raz tylko skórkę oblizesz!

JADZIA (ze strachem). Olaboga! To może lepiej napół surowe zjeść, bo potem nic z nich nie zostanie!

FRANEK: Cie, jaka mądrala! Tak ci pilno choroby w brzuchu dostać i leżeć potem, jak tamci, o! (wskazuje namiot).

KAZIU: (płaczliwie). A mnie tak w brzuchu ciurczy!...

FRANEK: Ciurczy — nie ciurczy, a zamiast się za pępek trzymać, poskoczyłbys trochę w las,

za konarkami, to by się te kartoflane gąbki prędzej upiekły.

KAZIO: Tak, a gdzie mam buty? Po rosie w nogi zimno!

FRANEK: (załamuje ręce). Buty? A ty pędraku co za niestworzone rzeczy będziesz tu wymyślał? — Cie-go, butów mu się zachciewa? To ja już zapomniałem jak się w butach chodzi, a temu się coś śni! A może jeszcze ciepłe skarpetki, sweterek albo i pierzynkę? Widzę mój chłopcze, że ciebie wojna żadnego porządku nie nauczyła.

JADZIA: Franuś, nie zagaduj się, bo kartofelki się przypala!

FRANEK: Patrzajcie, ludzie boskie, — czyśta gospodyni! Tobie się pewno zdaje, że to mamusia smaży naleśniki... to się gotowe przypalić? (poprawia kartofle patykiem). No, nasze «naleśniki» pewno już będą gotowe. Para trochę z nich jeszcze wychodzi, ale to nic, — można się do nich zabierać.

KAZIO: Ja sobie, Franuś, upatrzylem tego dużego, z takim guziółkiem...

JADZIA: A ja te dwa, co się przyrumieniły (wyciąga rękę).

FRANEK: (oburzony). A wy sobie łaziki co myślicie? — Od czego ja tu jestem, he? A chorym to pierwszej dać się pożywić — nie łaska? Łupiny im dacie oblizywać, — tak was w szkole uczyli?

KAZIO: — Ale ten z guziółkiem, Franuś, to będzie mój?

FRANEK: Nie tylko z guziółkiem, ale nawet z guzem, jak cebula, jeżeli nie będziesz cicho! (wybiera kartofle, obciera w kapotę i układa na boku).

JÓZIO: (pod namiotem). O jej — jej! — Tak mi się ładnie śniło!

JADZIA: Co ci się śniło, powiedz?

JÓZIO: (drapie się pod pachami — siada). Ojej, jak ładnie! Śniło mi się, że była u nas wigilja i mama nagotowała tyle kapusty z grzybami! — A co było knedelków z makiem!... A drzewko tak się uginało pod ciastkami, — takie ciepło, słoma w kąciciel...

FRANEK: Daj pokój, nie powtarzaj lepiej! Dziś takie specjałki to się śnią jeno dzieciom w gorączce!... Masz tu dwa kartofle! — (podaje mu). — Wyobraź sobie, że to knedelki z makiem!...

ZOSIA: (budzi się). — O Jezusiczku! — Macie knedelki z makiem?!

KAZIO: I tobie się także śniła wigilja z drzewkiem?

FRANEK: Mamy, a jakże! Ostatnie z tamtego zawałonego kopcza pod lasem dziś wybrałem. Tylko, że podobniejsze są do pączków z konfiturami!... (podaje Zosi dwa również).

— Masz i ty swojego z guziółkiem! (Dzieci zajadają łapczywie. — Franek wyciąga z pod kaptoty torbę żołnierską i wyjmuje sól, którą po szczypcie rozdziela między wszystkich).

JADZIA: Czy też dzisiejszej nocy nie będą strzelać?

FRANEK: Pewno się będą, myślisz, krępować, żeby nam snu nie przerywać, he?

KAZIO: O, wielkie rzeczy! Jak strzelają z armat, to mnie się wtedy najlepiej śpi!

FRANEK: Cyt! — Cicho-no, ktoś tu idzie! (wyteżają oczy w głąb lasu).

SCENA 2.

(Nadchodzą z głębi: Marysia, Tadek i Misia.
— Marysia prowadzi Misie za rękę, Tadek niesie pusty worek).

FRANEK: A, to wy? Chciało się wam to po nocy przez las wędrować? Czemużecie przy wozach nie zostali?

(Prz.) byli siadają przy ogniu, grzeją się).

TADEK: Przy jakich niby wozach? Przecie moskałe porekwirowali wszystkie wozy jeszcze przed południem! Powiadali Sobek z Czarkowej, że pewno ofenzywa tej nocy będzie, bo okrutnie amunicję wożą.

FRANEK: No, a z uciekinierami co zrobili, kiedy wozy zabrali?

MARYSIA: Nie mieli z ludźmi kłopotu, oho! Powyrzucali toboły z wozów na błoto i teraz wszystko śpi w tej rozwalonej szopie. Ale tam było tak ciasno, że tylko te rodziny wepchnęły się pod dach, których matki lub dziadkowie potrafiliby zdobyć im miejsce. My, sieroty, zostaliśmy pod gołym niebem.

TADEK: Jedliście kartofle?

MISIA: (wyciera oczy piąstkami). Jabym tak zjadła kartofelka!

FRANEK: Teraz to już na świecie głodomorów wcale nie brakuje; — i czekać na nich nie trzeba, w środku nocy przyłożą. — Myśmy ledwie oblizali po kartofelku, a tu masz!

MARYSIA: Żeście to jeszcze gdzieś kartofle wymacali?

TADEK: My od wczoraj, jak te zmarzłe buraki z kopca się zjadło, jeszcześmy w ustach, prócz śliny nie mieli!

JALZIA: To może się, Franus, podzielimy z nimi kartofelkami?

FRANEK: (drapie się po głowie). Łatwiej to było dzielić w szkole na tablicy nawet tysiąckami, niż w tej chwili tą garstką zgniłych kartofli obdzielić taką bandę głodomorów! — Czekaście, ile nas wszystkich?

MARYSIA: (liczy) Ośmioro!

FRANEK: A kartofli mamy jeszcze dziewięć!

KAZIO: (nadsłuchuje. — Franuś, to ten dziwiąty niech będzie dla mnie!

FRANEK: Patrzajcie! To ci rachmistrz! Do dziesięciu liczyć nie umie, ale jak ci wyrachuje, to zawsze dla siebie najwięcej! (wybiera kartofle i rozdaje po jednym wszystkim). — A tego dziwiątego to dołożymy najmłodszemu z nas!

KAZIO: To mnie, Franuś, bo ja jestem najmłodszy!

JADZIA: A, nieprawda, bo Misia najmłodsza! Ona jeszcze do szkoły nie chodziła!

FRANEK: Słusznie powiadasz. — Kazio zawsze się kłóci, jak mu powiedzieć «pędraku», bo się ma za dorosłego. Niech teraz się przekona, że dorośli mają też i obowiązki. Masz Misiu kartofelka drugiego!

(Dzieci zajadają).

TADEK: A coby też było, jakbyśmy się tak wybrali jutro z rana ku okopom? Moskalom dziś przywieźli konserwy i suchary!

MARYSIA: Albo do kuchni, tam za lasem! Józefowa wczoraj poszła, to kupiła za dwadzieścia kopiejek całą krowią głowę i flaki!

FRANEK: A jakże, był z tego wielki ball! Nagotowali tych flaków pełne wiadro, objedli się, jak nieboskie stworzenia, a dziś wszystkie dzieciaki chorują na brzuchy!

TADEK: Ale do okopów, tobym poszedł. Dałoby się wycygnąć od żołdatów jaką puszkę kon-

serwy, co? — Od konserwy brzuch nie zaboli, ale z głodu to prędzej!

MARYSIA: A Stach od sąsiadki przedwczoraj poszedł ku okopom zbierać jakieś puszkę i więcej nie wrócił! Powiadali w naszej karawanie, że go ustrzelili.

FRANEK: To jeszcze nic, ale jak staliśmy z wozami koło Dukli, to Feluś od Żółtowskiego znalazł ci na polu jakąś błyszczącą puszkę i przyniósł do wozu. Znalście Felusia, jaki był majster, co? Jak zaczął obcęgami koło tej puszkę majstrować, rozkręcać, a to buch! — Na kawaleczki ci go rozzerwało, matulę i siostrę na śmierć zabiło, a jeszcze i konie pokaleczyło! — Od tamtej pory, żeby mi złoto na polu leżało, do garści go nie wezmę. — I wam radzę, nie zbierajcie świecidełek po polu, bo to niebezpieczne zabawki!

TADEK: Oj wa! Niby to ja nie wiem, co jest pudełko z konserwy, a co bomba?

FRANEK: (przedrzeźniając). Ciel — jaki prze-mądrzały! Ja widziałem niedawno takie «jajko», trochę większe od gęsiego, świecące, ładne, a jakże, — a żołnierze mówili, że jakby niem w coś twardego uderzył, w trzech sekundach wybuchnie!

KAZIO: Franuś! — a może to są takie bomby z cukierkami, — bo tatuś mi często mówił, jeszcze w domu: Kazio, słuchaj mamy, to dostaniesz bombę cukierków!

(Wszyscy się śmieją).

FRANEK: Ty byś nawet armatę próbował zjeść!

KAZIO: Czemu nie? — Jakby ją mamusia posmarowała miodkiem, tobym zjadł, bo mi okrutnie w brzuchu ciurczy!...

MARYSIA: Przyszło nam wszystkim na biedę, ej przyszło! Jak to przed wojną, z dziećmi ra-

dy nie było, tak w jedzeniu grymasiły, a teraz?

MISIA: Ja już, Marysiu, nigdy więcej nie będę grymasiła (z płaczem) już wszystko zjem, co nam mamusia da!

FRANEK: Rychła mi to poprawa, kiedy matuli już niema na świecie!

MISIA: Oj, niema już mamusi, niema... do Bozi sobie poszła!...

ZOSIA: Nasza matula poszła po tatę do Bozi, a nam kazała czekać, a tu niema i niema! (chli pie).

TADEK: Dalibyście pokój takim wspominkom, bo się wszyscy pobeczycie. A co wam z tego przyjdzie, wróci się wam, albo co? Im tam napewno na tamtym świecie lepiej, niż nam tutaj, zimna i głodu nie zaznają!

KAZIO: Nie gadaj Tadzio, bo mi się jeszcze w nocy przysnił!

JADZIA: Ja się tam już nieboszczyków nie boję! Dawniej za nic w świecie nie poszłabym wieczór koło cmentarza, a teraz — czy pamiętacie, jak my już nieraz na wędrowce po cmentarzach nocowali? I co się nam stało?

TADEK: Przecież tu pod Karpatami, to cmentarz na cmentarzu, na każdym kroku mogiły poległych. Nieraz to wcale krzyżów na grobach niema, jeno trawa zarosła i nic nie znać, czy pod ziemią kto leży.

MARYSIA: Kto też tę wojnę przeżyje! Mnie się widzi, że po wojnie, to wcale ludzi na świecie nie będzie.

FRANEK: Zaś tam, nie będzie! A my to nie ludzie?

TADEK: I nas już coraz mniej. Przecież z naszego taboru, co wyjechał z Turki zeszłego roku już trzydzieści przeszło pomarło, samych dzieci!

FRANEK: Ale, prawda, powiadajcie, — jak się wam widzi? Zostały tam jeszcze nasze chaty, czy je moskale zburzyli?

MARYSIA: Mnie się widzi, że już nie zostało, bo nieboszezka mamusia jeszcze w zeszłym roku nocami popłakiwała, żeśmy już na dziady zeszli i nędza nas jeno czeka. Ktoś z tamtych stron doniósł do naszego taboru, że w naszej wiosce była okrutna bitwa, i że połowę wsi spaliło się od granatów!

TADEK: Czy też nasza szkoła ocalała? — Jak powiadacie, — wrócimy jeszcze do szkoły kiedy, żeby tak ładnie było, jak przed wojną? — Gdzie się też podziewa nasz pan nauczyciel?

FRANEK: Do Legjonów wstąpił! Przecież sformowali w naszym miasteczku oddział strzelców, i mój brat Szymek razem z nauczycielem zaraz z początku poszli na wojnę z pierwszą Brygadą. Ja też chciałem iść z bratem, ale mi powiedział: Siedź w chałupie, kiedy masz jeszcze śpić dłuższy od nosa — No, ale teraz, to już się nikt nie będzie pytał. Byłem się tylko natknął na Legjony, zaraz wstępuję!

TADEK: Phi! jaki morowiec! Myślisz, że cię zaraz wezmą! Gdzie masz metrykę i siedemnaście lat?

FRANEK: Patrzajcie, filozof! Może karabinu nie udźwignę, co?

TADEK: Jak cię karabin kopnie, to siedemkoziółków wywrócisz?

FRANEK: (oburzony). Co? Siedemkoziółków?! Małom się to nastrzelał pokryjomu z tatusiowej strzelby? Jak sobie tu (pokazuje na prawą pierś) kolbę mocno przyłożę, a jeszcze czapkę pod spód wpakuję, niech kopie zdrów!

MARYSIA: Ja też widziałam strzelców, jak

szli przez nasze miasteczko, to byli i tacy chłopcy, jak Franek. Mieli takie ładne, siwe maciejówki i orzelki na nich srebrne, a jak ślicznie śpiewali! Całe miasteczko wybiegło patrzeć. Nam kazała pani nauczycielka nazbierać kwiatów, a potem strzeliliśmy strzelców, a co kwiatów sypali ludzie z okien!

FRANEK: Maie pan nauczyciel podarował widzątek, na którym namalowany jest Komendant Piłsudski. To ci dopiero Komendant, — nie taki, jak te wszystkie austriackie albo moskiewskie generały, co jeno po miastach siedzą, bo się wojny boją. Tamten ci z żołnierzami w okopach siedzi, moskali grzmoci aż miło, a z każdym legunem jak brat. Z takiego Komendanta, to radość! A jak na te wąsiska srogie spojrzysz i na te siwe oczy, to byś zaraz czapkę zdjął i prosił: Obywatelu Komendancie, przyjmijcie mnie do Legionów! — A on ci jeno wąsa sobie pogłaszcze, brwi zmarszczy, i rzecze: — Smyku jakiś, — ruszaj do szeregu! — I jużże legun, jakbyś się nim urodził.

TADEK: Nasz pan nauczyciel zawsze mówił, że kiedy na Moskali wyruszy wojsko w maciejówkach z orzelkami, wtedy powstanie Polska. Albośmy to nie uczyli się o tych zaklętych rycerzach w Tatrach? Jużci, zaklęte wojsko, to Legioniści. Jak teraz powstanie Polska, to nam wszystkim lepiej będzie żyć na świecie!

KAZIO: Myślicie, że ja nie wiem, co to jest Polska, choć do trzeciej klasy jeszcze nie chodzę? (deklamuje).

Kto ty jesteś?

Polak mały!

Jaki znak twój?

Orzeł Biały!

Gdzie ty mieszkasz?

Między swem!

W jakim kraju?

W Polskiej ziemi!

Czem ta ziemia?
Mą ojczyzną!

Czem zdobyta?
Krwią i bliźną!

WSZYSCY: Brawo, Kaziu, brawo! (klaszczą w dłonie).

SCENA 3.

FRANEK: No, zabawa — zabawą, ale najwyższy czas spać, bo nie wiemy, co nas jutro czeka. Jazda, dzieciarnia! Młodsze do namiotu, na słomę, my starsi koło ognia!

(Wstają, poczem Marynia układa śpiącą Miśkę koło Zosi, Jadzia obok, Kazio gramoli się koło Józia).

JÓZIO: Olaboga! Po co się was tu taka kupa gniece? O jej! moja noga, moja nogal (krzyczy).

KAZIO: Cicho Józiu, nie rób wrzasku, bo jeszcze Moskali pobudzisz!

JÓZIO: To póco na mnie włazisz? Ja jestem chory, to mi wolno wrzeszczeć!

FRANEK: (groźnie). Będziecie wy tam cicho, pędraki!

TADEK: (wstawszy, próbuje rozestąć worek, ogląda dziury). I bądź tu mądry! Albo ja wiem, co lepiej, — czy ten worek położyć na ziemi, a przykryć się powietrzem... czy przeciwnie...

FRANEK: To całkiem na jedno wyjdzie, ale już... (nie kończy, — za sceną gwałtowne strzały).

TADEK: (upuszcza worek na odgłos strzałów i przykuca do ziemi). O Jezul — Już po nas!

FRANEK: (głośno). Plackiem leżeć, na brzuchu! (padają na ziemię).

MARYSIA: Rany boskie! To pod lasem bitwa!

FRANEK: Ogień! ogień trzeba zgasić, bo jak

zobaczą, to strzelą tu z armaty! Tadek, ogień gaś!
(Za scenę trajkot maszynowych karabinów).

TADEK: Ale czem ogień zgasisz? Gdzie wo-
da?

FRANEK: To trawę [zrywaj i wal na ogień,
prędko! (zrywają trawę wokół siebie, leżąc na
brzuchu i zasypują ognisko).

MARASIA: O Jezu! Co to bęłdzie, jak kolo
nas zaczna strzelać?

JADZIA: Wyłaźmy na drzewa!

FRANEK: A to ci wymyśliła! Nie słyszysz,
jak kule po gałęziach szeleszczą?

(W namiocie dzieci wybuchają wielkim płą-
czem).

FRANEK: Cicho tam, bachory, na rany bos-
kie, bo jeszcze moskale usłyszą, a potem co?

MARYSIA: To chyba nasi atakują!

TADEK: Jacy znowu «uasi»?

MARYSIA: A toć nie jacy, tylko austrjaki!

FRANEK: Ani mi się waź nazywać austrja-
ków «naszymi»! — No, niechby tak moskale po-
słyszeli, ładniebyśmy wyglądali!

(Gwałtowny trajkot karabinów).

Pewno wyruszą do ataku, ale którzy?

JADZIA: O Jezusie! Żeby tak nasi, i ta-
tuś z nimi!

TADEK: To muszą być pewnikiem Niemcy,
bo wczoraj słyszałem, że Niemcy przyszli austrja-
kom na pomoc, tu do Karpat!

(Strzelanina milknie).

FRANEK: O! słuchajcie! Przeszli strzelać —
poszli na bagnety, albo z którejś strony uciekli.
— Ja się na tem znam, oho!

TADEK: Właśnie, że mochy uciekli, bo z tej
strony pierwaj przeszli strzelać! Wiwat!

FRANEK: Nie krzycz -- hop! Moskałom południu przysły posiłki.

(Słychać szelest kroków w lesie).

TADEK: Cicho! — Ktoś w tę stronę idzie!
(Zbijają się w kupkę).

SCENA IV.

(Z głębi wynurza się postać ułana Beliniaka. Kroczy powoli, ostrożnie, podiera się na szabli, kuleje).

UŁAN: (rozgląda się, — do siebie). Cóż to znaczy? Ognisko, namiot... Hej, ludzie! Kto wy jesteście?

FRANEK: (Tręca w bok Tadka). Mnie się widzi, że ten głos kiedyś znałem!

UŁAN: (Zbliża się). Co wyście za jedni?

FRANEK: Olaboga! Dzieci! — Toć to nasz pan nauczyciel! (wstaje).

UŁAN: (bacznie się przygląda). Jakże to? Więc jesteście dzieci z pod Turki?

MARYSIA: (wyskakuje z pod namiotu). Rany boskie! — Przywitajmy przecież pana nauczyciela! (wszyscy wylazą z pod namiotu).

UŁAN: (głaszcze je kolejno po głowach). Miły Boże! Pierwejbyłem się śmierci spodziewał! Więc to wy? — Franek, Marysia, Józio, Kazio, Tadek, a nawet Zosia i Misia! — Prędko, powiadajcie, dawno się już tak poniewieracie? Gdzież wasi ojcowie?!

MISIA: (zaspana). Mamusia poszła do Bozi... proszę pana!

MARYSIA: My już osiem miesięcy na tulacze. Tatusia wzięli do wojska jeszcze w sierpniu, a potem przyszli moskale i całą wieś austrjacy wypędzili na uciekinierkę, bo tam bitwa była. Ma-

musia umarła pod Duklą, jak nas Moskale zajęli — a potem nasze wozy zabrali, i teraz wlecemy się w te strony z całym taborem, co tam za lasem staną. My tu wszystkie sieroty, bo mamusia nam już poumieraly, najwięcej na tyfus. Tadzia mama i dwoje młodszych pomarły w Krośnie, a nasz najmłodszy braciszek jeszcze przed mamusią umarł.

UŁAN: (kiwa głową). Takie są skutki wojny, oj takie! (do Jadzi). A twojego tatusia spotkałem przed tygodniem na Węgrzech.

JADZIA: (klaszcze z radością). O Jezusicku! A kiedy tatuś do domu wróci?

FRANEK: Jako — do domu? Przecież dom spalony!

UŁAN: Biedne, bezdomne sieroty!... (po chwili). No, rozdmuchajcie ogień, a ja sobie spocznę, bo mnie osłabiło.

(Tadek i Franek sadzają go, trzymając pod rękę).

MARYSIA: To pana nauczyciela ustrzelili?

UŁAN: Nie tylko mnie, bo i konia mi ubili!

FRANEK: A jakie to wojsko atakowało dziś Moskale, proszę pana?

UŁAN: Na tym odcinku atakowali Legionisci, to też mochy dostali w skórę, że się chyba nie oprą aż we Lwowie. — Ale wam, mówcie, jakże się wam powodzi? Głodniście może?

KAZIO: (trzyma się za brzuch). — Mnie, proszę pana jeno wciąż tak w brzuchu ciurczy i ciurczy!...

TADEK: No, co Kazik, od małego był nasycony, ale naprawdę tośmy tu wszyscy już od dwóch tygodni ani razu sobie nie podjedli, a dziś tylko po dwa kartofelki za cały dzień.

UŁAN: (szuka w chlebaku). A lubicie wy końską kielbasę?

JÓZIO: O jej — czemuby nie?!

KAZIO: (trąca w bok Franka). Patrzajno, pan nauczyciel pewno i z kawałek piernika ma w tej torbie!

UŁAN: Toś ty jeszcze o piernikach nie zapomniał? Dobrą masz pamięć! — żebyś to był tak lekcje doskonale zapamiętał! (wyciąga kawałek suchej kielbasy i suchy chleb). Jakże was tu wszystkich poobdzielać? (wydobywa scyzoryk i kraje kielbasę, poczem rozdziela, od najmłodszych).

MARYSIA: A co to będzie z nami, panie nauczycielu, jeżeli nasi wygrali?

TADEK: Oho! — Teraz już z głodu nie poginiemy!

UŁAN: Tak i ja sędzę. — Może was tymczasem umieścimy pod opieką Ligi Kobiet w Samborze, a jutro zapraszam was na obiad do kuchni polowej czwartego pułku, — dostaniecie każde pełną menażkę zupy grochowej z kielbasą.

TADEK: (oblizuje się). Słyszycie? — prawdziwa zupa grochowa z kielbasą!

(Dzieci ucieszone szeptają między sobą).

FRANEK: Ho, ho! Niema to jak w Legjonach! (do ułana). Ja sobie, proszę pana, tak umyśliłem, żeby koniecznie do Legjonów wstąpić!

UŁAN: Czemużby nie? — jak urośniesz, możesz wstąpić!

FRANEK: Ale ja chciałbym zaraz, proszę pana!

UŁAN: Przecież ty dziecko jesteś, Franku, cobys przy wojsku robił?

FRANEK: (nawpół z płaczem). A tu co będę robił? Brat Szymek poszedł...

UŁAN: (smutnie). A tak, poszedł... i poległ pod Krzywopłotami!

FRANEK: (z płaczem). O Jezu! Co pan nauczyciel mówi?! Zabity, Szymek zabity?

UŁAN: Był w naszym szwadronie, w moich oczach zginął, ale ty po bracie nie płacz, padł on za Polskę, jak bohater!

FRANEK: (Tłumi łzy). Jużci, nie będę beczał, nie będę! Szymek zginął, ale ja go zastąpię! Niech pan nauczyciel wstawi się za mną do Komendanta... ja też chcę walczyć za Polskę! I ja umiem już strzelać, karabin udźwignę! Niech się pan za mną wstawi!

UŁAN: Dobrze, dziecko, wstawię się! Może brata pomścisz... będzie z ciebie legionista, — mamy więcej takich!

FRANEK: (uradowany do dzieci). Czekaście, jak mnie przyjmą do Legionów, to pierwszą porcję z kuchni zaraz wam odstąpię!

KAZIO: To mnie, Franuś, bo ja cię najbardziej lubię!

(Dzieci się śmieją.)

UŁAN: No, skończy się teraz wasza niedola, moje dziatki, ale gdy Polskę wywalczymy, to wszystkim już będzie lepiej. Ojców waszych i matek już nikt nie wskrzesi, ale wskrzeszona Ojczyzna matkę wam zastąpi. Pamiętajcie więc, kochać Ją tak, jak ci, co za nią polegli, i polegną jeszcze, bo wielkich ofiar trzeba, aby niepodległość Polski wywalczyć więc tem droższe dla nas Jej imię. — A teraz pomóżcie mi wstać i zaśpiwamy wspólnie piosnkę o Komendancie Józefie Piłsudskim, który nas wiedzie do zwycięstwa, po wolność dla Ojczyzny. (Chłopcy pomagają wstać rannemu ułanowi, poczem śpiewają chórem wszyscy):

Jedzie, jedzie
bis (Na kasztance --
bis (Siwy strzelca strój
bis (Hej, hej, Komendancie
bis (Miły Wodzu mój!

Gdzie Twój mundur
bis (Generalski —
bis (Złotem szywany
bis (Hej, hej, Komendancie
bis (Wodzu kochany!

Nad lampasy
bis (I czerwienie
bis (Wolisz siwy strój
bis (Hej, hej, Komendancie
bis (Miły Wodzu mój!

Pójdziem z Tobą
bis (Po zwycięstwo
bis (Poprzez krew i znój
bis (Hej, hej, Komendancie
bis (Miły Wodzu mój!

(Kurtyna spada).

KONIEC.

